Nr. 47. We Lwowie dnia 19. Listopada 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KAROLINA ŚWIETLA.

2)

WSPOMNIENIE.

Ujrzałam ją nareszcie. Siedziała na ławce, w cieniu olbrzymiego drzewa, którego kopułę przebijały tam i owdzie złote strzały lipcowego słońca. W tem oświetleniu zielonawem, gaszącem barwy, smagła twarz Świetli wyglądała jeszcze ciemniejsza i ogromnie znużona. O wyczerpaniu nerwowem mówiła również cała postać, gnąca się bezwładnie, niby podcięta roślina. I gdy, wymieniając pierwsze, nieśmiałe i sztywne słowa powitania, utonęłam spojrzeniem w bezmiernie smutnych, zgasłych źrenicach autorki »Pierwszej Czeszki«, coś niby żal, niby zawód przemknęło mi przez głowę w formie pytania: »Po com tu przyszła?« — Inaczej wyobraźnia mi rysowała śmiałą bojowniczkę postępu, — myślicielkę, w męce ducha szukającą prawdy, — obywatelkę, co umiała wcielać w życiu wyśnione ideały, — artystkę, władnącą duszami ludzkiemi, — inaczej!

Przedmiot rozmowy sam się nastręczał. Znajdując się pod przemożnem wrażeniem uroczystości sokolich, które się odbywały w ciągu dwóch ostatnich dni, przebąknęłam coś o nich. Świetla, której długotrwała choroba nerwowa, trapiąca ją po raz trzeci w życiu, kazała unikać silnych wstrząśnień, nie była ich świadkiem.

Nie słyszała okrzyków tryumfu, któremi wzruszona Praga witała uroczysty pochód kilkunastu tysięcy sokołów czeskich, polskich, chorwackich, słowieńskich, i czesko-amerykańskich, nie widziała junackich zastępów na boisku, — mogła jedynie przesłać, w znak miłości, z przyćmionego pokoju, w którym ją więził ból, równiankę wonnego kwiecia na sztandar sokoli, łącząc do niej mężki nakaz: »Sokole czeski, ostrym dziobem i szponami broń ojczyzny od wrogów obcych i swoich!«

Słowa powyższe streszczały dążenia całego życia Świetli, których celem była obrona ojczyzny od wpływu wrogów obcych i swoich, — tych, co sieją zepsucie, zatruwają duszę narodu hasłami wstecznictwa, odstępstwa, zdrady! To też powtarzając je teraz, walczyła z widocznem wzruszeniem, które ją porywało, mocne jako wicher. Pochylona jej postać wyprostowała się, czoło uniosła w górę dumnym ruchem sokoła, co patrzy w jądro słońce bez olśnienia, ale z miłością, rysy twarzy ożywiła młodząca łuna rumieńca, do czarnych brylantów podobne oczy cisnęły snopy iskier...

Jęła mówić o wielkich twórcach Sokoła czeskiego a towarzyszach górnej swej młodości, Fügnerze i Tyrszu; opowiadała o szczytnej roli, którą ten Sokoł odegrał w bolesnej walce narodu o prawa,—o życie; podniosła znaczenie demokratycznych i patrjotycznych haseł, których apostołami stały się towarzystwa sokole, — nie pominęła jednem słowem nic z tego, co obcemu przybyszowi mogło ukazać we właściwem świetle narodową instytucję, — przemilczała jedynie o tem, co sama uczyniła dla jej rozwoju, nie wspomniała, że gdy dzięki jej inicjatywie i zabiegom kobiety czeskie ofiarowały w r. 1862 pierwszy sztandar sokołom, wezwana na kumę, wygłosiła przy wbijaniu pierwszego i ostatniego gwoździa w drzewce sztandaru, podniosłą mowę (kobieta na mownicy publicznej, przed sześćdziesięciu kilku laty, w Czechach!), którą zamknęła temi słowy: »Żądamy od was, Sokołowie czescy, abyście stawali zawsze po stronie słabszego, a przed silnym nie skłaniali głowy, — abyście się korzyli tylko przed tem, co wzniosłe jest i szlachetne, a kłamstwu i zdradzie odważny wypowiadali bój, — żądamy, abyście ojczyznę miłowali ponad wszystko, a wielkie hasła ludzkości nietylko w sercach nosili, lecz wcielali je w czyn, — żądamy, abyście cześć narodu i własną cenili bardziej, niż życie, a kobietę uważali za kapłankę dobra i piękna! Takiemi są nasze dla was życzenia, takiem błogosławieństwo siostrzane!«

Patrzyłam, słuchałam i powtarzałam sobie w duszy, że ta Świetla rzeczywista, co sześć krzyżyków dźwigając na barkach, zdolna jest młodym unosić się zapałem, we wrzącem sercu posiada tyle miłości dla ideałów, a namiętnej wzgardy dla

handlarzy, plugawiących świątynię, — że ta Świetla z krwi i kości nie ustępuje nic a nic tamtej — mojej — wymarzonej!

Rozmowa potrąciła ponownie o wystawę. Mówiłyśmy teraz o dziale jej kobiecym, w którym widne miejsce zajmowały okazy szkół fachowych, utrzymywanych nakładem prywatnego stowarzyszenia, pod nazwą Zensky vyrobni Spolek. Na czele nadzwyczaj rozgałęzionego spolku stoi wprawdzie od lat dwudziestu kilku sławna Eliszka Krasnohorska, tłumaczka »Pana Tadeusza«, którą doroczny zjazd członków Rady naszego Muzeum Narodowego w Rapperswylu zamianował w sierpniu bieżącego roku członkiem honorowym. Założycielką jego wszakże i przewodniczącą w pierwszych latach istnienia była Świetla, która pragnęła — własnemi jej słowy mówiąc — »dać w ten sposób wykształconym klasom swego społeczeństwa możność spłacenia choćby najskromniejszej cząstki olbrzymiego długu, zaciągniętego względem ludu czeskiego«.

Od Spolku i licznych jego wychowanek przeszłyśmy niepostrzeżenie do kwestji kobiecej wogóle, u nas i w Czechach. Świetla miała nader pochlebne wyobrażenie o Polkach i znakomicie była poinformowana o życiu naszego narodu. Przewodnikami jej w tym kierunku byli: brat męża i przyjaciółka lat młodych, głośna swego czasu Honorata z Wiśniowskich Zapowa, żona historyka czeskiego. Mistrzem jednak stokroć od tamtych doskonalszym stało się jej własne serce. Objęło ono niedolę bratniego narodu, zrozumiało jego dążenia i nadzieje, gorącym uderzyło zapałem dla walk naszych o wolność.

Wyraz wymowny zapatrywaniom swoim na Polki i uczuciom dla Polski Świetla dała w noweli pod tytułem: »Kilka dni z życia prazkiego dandysa.« Jest to mistrzowsko skreślony obraz budzenia się duszy w marnym światowcu pod wpływem faktów, z któremi się spotyka w r. 1863 w Polsce, orężnej, krwią zbroczonej, od płomieni pożarów jasnej... Odolan, tak ma na imię młody Prażanin, zżyma się początkowo i oburza na to, co widzi w tym »szalonym kraju«. Nie może pojąć, naprzykład, dla czego robotnicy opuszczają tłumnie przędzalnię jego ojca, w której interesach przybył był właśnie do Polski, czemu gardzą »stałym i pewnym zarobkiem, przenosząc w karygodnym obłędzie kalectwo, śmierć lub najnędzniejsze wygnanie«. Trudniejszem jeszcze do zrozumienia zjawiskiem są dlań kobiety polskie, w żałobie, z wyrazem smutku na uroczych twarzach, myślące jedynie o losach ojczyzny, śpieszące na pole bitew, aby koić bóle, opatrywać rany jej obrońców, — te kobiety, co posiadając wszelkie dane do odgrywania pierwszorzędnej roli w stolicach świata dzięki piękności, wykształceniu, stosunkom majątkowym, wolały znosić dobrowolnie trudy, poniewierkę, śmierć i co dziwniejsza — nie chciały nawet wstępować w związki małżeńskie, »odkładając miłość do chwili, gdy się los ojczyzny rozstrzygnie«. Oburzenie jednak Odolana na »Donkiszotów - Polaków« ustępuje zwolna innym uczuciom. Potężne namiętności, wrzące dokoła, pukają do jego duszy, wyjałowionej marnemi rozrywkami, wyziębionej niecnem użyciem, zdają się wołać nań wielkim głosem: »Memento! i ty jesteś człowiekiem, a więc i nad tobą posiadamy moc i prawo, a więc i ciebie odnajdziemy nawet w błocie, w którem ugrzązłeś!«

Ostatecznego nawrócenia Odolana dokonywa Jadwiga, chorąży oddziału powstańczego, która ocala sztandar, symbol Polski, lecz śmiertelną otrzymuje ranę w potyczce z wrogiem. — Nie mogłam nigdy czytać bez głębokiego wzruszenia i głębokiej dla Autorki wdzięczności rozmowy Jadwigi z Odolanem, w której bohaterka polska rozwija przed nim szczytne poglądy na powołanie kobiety w społeczeństwie i obowiązki jej względem ojczyzny, to też czułam się nad wyraz szczęśliwa, mając teraz sposobność wynurzenia tych uczuć w swojem i rodaczek imieniu tej, co w świetle tak idealnem przedstawiła swemu narodowi typ kobiety polskiej.

Sędziwa Autorka nie odrazu zrozumiała o kim mówię. W stu przeszło powieściach swoich, nowelach, obrazkach stworzyła taki tłum ludzi, że nie mogła pamiętać wciąż o każdym z osobna. Na wyrazistej jej twarzy malowała się przez chwilę wytężona praca myśli, wnet jednak piękne to oblicze zajaśniało słodkim, niby świt miesiączka, uśmiechem.

— Jadwiga! Wiem już, wiem! Więc podobała się Polkom? Jakże się z tego cieszę! Szlachetne córy Polski cierpiącej były mi zawsze niezmiernie bliskie. Śledziłam pilnie wszystko, co o nich mówiono lub pisano. W ostatnich dniach czytałam z żywem zajęciem w Zenskych Listach rozprawkę Antoszki o działalności Warszawianek. Wiele mi też opowiadał o rodaczkach swoich pan Bronisław Grabowski*). Nie wie pani, czy p. Grabowski nie wybiera się do nas na wystawę? Tak bardzo pragnęłabym go widzieć! Tyle żywej radości sprawiało mi każde z nim spotkanie! —

— Nie spodziewałam się, dodała po chwili, wracając do wspomnianej przezemnie noweli — że ten mój drobiazg zwróci na siebie uwagę w Polsce, dla której podczas powstania z r. 1863 tyle gorących serc biło w Czechach. Po wykończeniu jakiejś pracy nigdy nie jestem pewna, czy posiada ona wartość choćby najmniejszą, jakkolwiek podczas tworzenia doznaję zwykle uczucia ogromnej radości, niewysłowionej, zawrotnej rozkoszy....

Nagle ożywiona twarz mówiącej zasępiła się, świetne czoło przecięła bolesna zmarszczka, w oczach błysnęła groza, jakby to, co powiedzieć miała, było czemś strasznem.

---

*) Tłumacz na język polski pierwszorzędnych arcydzieł Świetli: *Romansu wiejskiego*, *Krzyża nad potokiem*, *Kamieniarza i jego córki*, *Agnieszki krawcówny*, *Zaręczyn*, *Ciotki Wawrzyńcowej* itd.

— Radości tej jednak ani rozkoszy nie zaznałam oddawna, bo.... — pani o tem nie wie zapewne? — bo od dłuższego czasu nic już nie piszę... Nie mogę siebie samej zadowolić...

Głos Świetli, gdy czyniła to wyznanie, brzmiał boleśnie, jak gdyby i w jej sercu, jak w sercu jednej z jej bohaterek, Daleny, tracącej szczęście na zawsze, »coś zadźwięczało, niby struna, gdy pęknie i drgając płacze nad smutnym swym końcem«...

Wkrótce potem pożegnałyśmy Świetlę. Na skręcie ścieżki odwróciłam się, aby zobaczyć ją raz jeszcze. Stała, odprowadzając nas wzrokiem, pogodna znowu, cicha, majestatyczna, a młode listki, szeleszcząc, migały nad jej głową w powiewie wietrzyka, w blasku słońca, niby mnóstwo niezliczone ruchliwych warg, któremi rozłożyste drzewo — na wzór legendowej w Jesztedzie lipy — zdawało się zwierzać jej, miłośniczce i znawczyni przyrody, niedostępne dla innych tajemnice...

(Dokończenie nastąpi.) *M. Wysłouchowa.*

Wrażenia z wycieczki nową koleją do Zakopanego.

Rozpoczął się wreszcie d. 25. października b. r. ruch na kolei, prowadzącej do stóp Tatr. Upragniona komunikacja między światem cywilizowanym a dziką przyrodą górską stała się rzeczywistością. Czego dotychczas nie zdobyły sobie rozgłośne zdrojowiska: Szczawnica i Krynica, to osiągnęło Zakopane. Nie mając zamiaru kreślenia historji tej kolei, nie będę wymieniał, komu mamy do zawdzięczenia jej zbudowanie, dość, że jest i codziennie kursuje po niej pociąg, zastosowany do rozkładu jazdy na kolei państwowej, karpackiej. Wyjeżdża się z Krakowa o godz. 9. rano, staje o wpół do drugiej w Chabówce, gdzie opuszcza się pociąg, który śpieszy dalej ku N. Sączowi. Nim upłynie półgodzinny termin pobytu na stacji w Chabówce, trzeba kupić sobie bilet do przejazdu ku Zakopanemu, gdyż dotąd gdzieindziej biletów nie dostanie. Rzeczy tylko można nadawać wprost do Zakopanego z Krakowa i innych stacji, oraz odwrotnie. Kosztuje III. klasą z Chabówki do Zakopanego 82 ct., II. klasą podwójnie, a I. potrójnie.

Życie całe teraz koncentruje się na peronie w Chabówce, po za nim głucho i pusto, nie ma owego tłumu górali, i tego natłoku wozów i rozmaitych pojazdów, które dotychczas zalegały plac przed dworcem.

Zajeżdża pociąg z nowemi wagonami, zmieszanemi jeszcze ze staremi i wsiada się doń z ciekawością, jak tę przestrzeń, którąśmy dotąd na wozach góralskich przez grzbiet Obidowej przebywali, z pomocą pary przeminiemy?

Ruszamy na zachód przez Rokiciny do Raby Wyżnej, gdzie pierwsza stacja na nowej kolei. Widać, że ruch pociągów jest tu dziwowiskiem, znać wszędzie, jak mieszkańcy okoliczni biegną na spotkanie parowozu. Im dalej, tem cięższej idzie maszynie ciągnąć za sobą wagony, bo poziom wznosi się coraz wyżej. Przez długą wieś Sieniawę nie widać prawie nigdzie sposobnego terenu pod kolej, każda przestrzeń musiała być zdobytą, albo nasypem, albo przekopem. Miejscami nawet z nielada trudem przyszło sobie tu drogę torować, gdyż trzeba było łamać skały wyniosłe, a przez wąwozy murować groble. Pociąg wije się, jak wąż, skręcając w lewo, w prawo, mija zarośla, las, brzeg potoku, to wrzyna się w górę, przedartą ludzką siłą; podróżni z okien wagonów widzą domostwa góralskie, porozrzucane po zboczach wyniosłych, lecz o Tatrach niema słychu. Jeszcze wąwoz, znowu przekop, do którego, jakby w olbrzymią bramę wtacza się nasz pociąg: maszynista daje sygnały, aby się ludzie usuwali zawczasu z drogi, gdyż wszędzie jeszcze roboty trwają koło wykończenia terenu, zajętego pod kolej.

Wreszcie po przeszło godzinnej jeździe i dwóch przestankach na stacjach, parowóz szybko się stacza w otwartą dolinę i naraz odsłania się świat górski w całej okazałości. Podhale widać naokoło z bielejącemi wśród niego kościołkami, a od południa piętrzy się długi w całości łańcuch Tatr, ubielony śniegiem.

Wrażenie odnosi się tu potężne; wszystkie szczyty od wschodu koło Murania i Hawrania, do zachodu po za Rohaczami, zdaje się, że stanęły do szeregu, by stworzyć groźną zaporę dla człowieka, coby po za niemi szukał świata.

Ci z podróżnych, co po Tatrach już chodzili, rozpoznają szczyt po szczycie, tu Łomnica, — tam Lodowy, dalej, po za głębokiem wcięciem grzbietu Gierlacha,— to Żelazne Wrota, Ganek, Wysoka, złączona Wagą z Rysami, — potem turnie Mięguszowieckie, przed niemi Wołoszyn, Koszysta, Granaty — Kozi-Wierch — Świnnica, a za nią Krywań. Za temi w łago

dniejszych linjach Czerwone Wierchy — Bystra, Stararobota, a w końcu z ostrzejszemi czubkami Rohacze, Salatyn i tonące w mgle Liptowskie i Orawskie wierchy. Giewont gubi się ztąd w grzbiecie od niego wyższym. Podróżni od okien jednych do drugich podążają, aby się napatrzeć cisnącym się w oczy przepysznym krajobrazom. Pociąg z hamulcem zajeżdża przed budę drewnianą, na której napis „Przestanek Lasek“, za nim ogarnia jadących miłe wrażenie lasu iglastego, obecnie, w listopadzie nawet, zielenią tchnącego. Dalej rozlegają się obszerne pola torfiaste, wśród których wije się Dunajec Czarny. Trafność jego nazwy każdy oceni, spojrzawszy na dno przy mijaniu mostu koło Nowego Targu. Nie widać w nim owych bielejących się głazów granitowych, które rówieśnikowi jego, Białemu Dunajcowi, dno zaścielają. Nie słychać też i szumu wody, z jakim się dopiero po za Szaflarami spotykamy.

Pociąg tymczasem staje przed dworcem kolei w Nowym Targu. Chociaż miasto ztąd znacznie oddalone, mieszkańcy zdążają na dworzec dla przejrzenia się nowości. Dla ich to zapewne przyjemności pociąg stoi na stacji długo, gdyż innego powodu trudno się domyślić.

Znowu wjeżdżamy w las sosnowy miejski, bardzo przetrzebiony, ale na goliznach zalesiony. Dobijamy wnet do stacji w Szaflarach, po za dworem, tuż pod skałką, na której malowniczo wznosi się altana w miejscu zameczku, znanego z historji XIV. wieku. Mieścili się w nim fałszerze pieniędzy, których naczelnika za króla Ludwika ztąd uprowadzono i na stosie spalono.

Widok jeszcze prawie ten sam obszerny na całe Tatry, lecz odtąd już w miarę zbliżania się do ich stoków, dalsze krańce gór gubią się, a występują coraz wydatniej szczyty, które dolinę Pięciu Stawów okrążają. Każdemu z przejezdnych nasuwa się tu pytanie, dlaczego dworzec kolei zbudowano w Szaflarach z zupełnem pominięciem wsi?

Słońce chyli się już ku zachodowi; wierzchołki Tatr lśnią się barwą gorącą, gdy w cieniach zimne tony przypominają obecną zimową tam już atmosferę. Lodowy szczyt błyszczy złotem, jakby uwodzić chciał umysły, przejęte baśniami o ukrytych skarbach w Tatrach.

Gdy się minie stację w Białym Dunajcu, dokąd pociąg zdąża równolegle z gościńcem, który jeszcze przed tygodniem był jedyną komunikacją między Tatrami a równiami, głównym obrazem górkim staje się pasmo koło Świnnicy. Ku zachodowi spojrzawszy, widzi się już pysznie dźwigającego się z nad poziomu Giewonta. Przejeżdżamy po moście na prawy brzeg Dunajca, i stajemy na stacji w Poroninie, już o zmroku, zkąd jeszcze 40 minut czasu potrzeba, aby dotrzeć do celu podróży. Trudno już zabawiać się widokami, bo ciemno w polu, o 5-tej godzinie pociąg przybywa do Zakopanego. Dworzec każe zapomnieć, iż się stanęło pod Giewontem, bo tak wszystko po naszych kolejach jest banalnem, stereotypowem, — jakby z jednej formy odlanem. Tu teraz spotyka się z tem życiem, jakie się widziało na dworcu w Chabówce, — pełno górali, ofiarujących się z odwiezieniem, z zaniesieniem rzeczy, a o tyle więcej w Zakopanem rozmaitości, że nie brakuje gości z pośród osób, bawiących tu dla zdrowia przez zimę.

Powrót z Zakopanego, chociaż odbywa się tą samą drogą, i w równym czasie, nastręcza sposobność do odmiennych wrażeń. Odjeżdża się bowiem z Zakopanego rano o 9 godzinie, przez co rozpoznaje się te krajobrazy, których z powodu ciemna nie dało się zobaczyć przy dojeździe do Zakopanego.

Dworzec kolei na Chramcówkach, na stoku wzgórza Antołówki, tak jest położonym, że za tło ma przepaścistą ścianę Giewontu. Dojazd do kolei i dojście dotychczas jest w robocie, a więc przedstawia trudności w dobiciu się do mieszkania w Zakopanem, tem bardziej gdy żadnych dotychczas nie znać rozpoczętych czynności regulacyjnych. Nowych ulic, gwałtem potrzebnych do rozwoju uzdrowiska, jak nie było, tak i niema.

Wśród jasnego dnia jadąc z Zakopanego koleją, widzi się raz wraz z poza wzgórz wychylające się szczyty Tatr i szumiące wszędzie potoki, które podążają z każdej doliny ku Dunajcowi. Całe Podhale rozwija się dopiero koło Nowego Targu, z siniejącemi na wschodzie Pieninami, a z Babią górą na zachodzie. Dostajemy się znów w wąwozy Sieniawy, jesteśmy w dorzeczu Raby i na południe dobijamy do Chabówki, zkąd nas za pół godziny zabiera pociąg, od N. Sącza zdążający ku Suchy, a następnie ku Krakowowi. Wrażenia z przejazdu tą nową koleją naturalnie ulegają ciągłej przemianie stosownie do pory roku, w której się wtedy szacie przedstawia świat tatrzański. To należy do przyjemności, ale warto też wspomnieć o pożytku tej drogi żelaznej, gdy natura zalewa okolicę deszczami, gdy wichry dmą, gdy mrozy się wysilają, gdy człowiek szuka ochrony przed nawałem nieprzyjaznych żywiołów, a jechać musi. Wtedy dopiero uczuwa się dobrodziejstwo drogi żelaznej, a takich czasów przecież tu więcej bywa, niż pogody. W lecie odporność ścian wagonu na wpływ słoty, w zimie ogrzane w nim powietrze, chroniące od mrozu, nie będzie odstraszać ludzi od podróży w Tatry i dozwoli nawet osobom chorym szukania naprawy zdrowia pod chmurnem niebem górskiem.

A transport towarów i wszelkich materjałów spożywczych, dotychczas mocno utrudniony przewozem końmi przez góry, teraz ma otwartą drogę tanią i ochronną w zupełności do Zakopanego. Naodwrót wywóz masy drzewnej na

papier, drzewa budulcowego i kamieni do brukowania ulic w miastach, zmienić się winien na korzyść biednej górskiej krainy przez kolej.

Poprowadzenie drogi żelaznej stokami Tatr do połączenia się z Węgrami w Orawie, którego spodziewać należało, w myśl uchwały Sejmu, przez Kościeliska, podobno, niestety, znalazło odmowne w ministerstwie załatwienie wskutek interwencji wojskowości.

Narody w Austrji upadają pod ciężarem militaryzmu; o ileż on jest przykrzejszym, gdy pod jego opiekę odwołują się opozycjoniści w naszym kraju dla dogodzenia ambicjom zaściankowym. Antagonizm Nowego Targu do Zakopanego będzie klęską dla Tatr i całego w ogóle Podtatrza, jeżeli sprawdzi się wiadomość, iż z Zakopanego kolej nie pójdzie przez Chochołów do Suchejhory.

W krótkim czasie okaże się konieczność owego połączenia, choćby już tamto przez Czarny Dunajec istniało, gdyż najżywotniejszą sprawą dla rozwoju Podhala jest przypływ gości do Tatr, nie tylko z Polski, ale i z zagranicy, czego najlepszym przykładem są okolice alpejskie. Tatry muszą mieć naokoło bezpośrednie połączenia żelazną koleją, bo żaden z cudzoziemców nie pokwapi się do zwiedzenia ślicznych naszych dolin: Kościeliskiej i Chochołowskiej, jeżeli pociągi z Orawy pójdą na Nowy Targ.

Tymczasem zadawalniać się musimy koleją, kończącą się w Zakopanem, na której ruch nie może się taki rozwinąć, jakiby był, skoroby tędy cały rok krążyły pociągi, łączące Galicję z środkową Europą przez Zakopane.

Walery Eljasz.

PROLOG.

(Dokończenie.)

Trzecia rusałka: Majko!

Majka: A co tam?

Trzecia rusałka: Pójdź ze mną: bujać się będziem, jak motyle.

Majka. E! nie! ja nie chcę!

Trzecia rusałka: Pójdź, majko!

Majka: Nie! nie! Pilno mi do pracy: dowiem się, czy na leszczynie młodej już obeschła rosa, obaczę, może poziomki kwitnąć już zaczęły...

Trzecia rusałka: Mnie do bujania tęskno! Nie chcesz? to sama pójdę... o! tam... pod drzewo to wysokie... Włosami gałąź oplączę i tak na włosach zwieszona, bujać się pocznę, bujać, bujać... A tymczasem wiatry będą piły usta moje! (Z wybuchem radości.) Ho! ho! wiosenka! wiosna! leć do nieba, krzyku mój wesoły! (Rozbiegają się w przeciwne strony; po chwili widać rusałkę w lesie, w pewnem oddaleniu, między drzewami miga rozbujana. Czwarta i piąta rusałka usiadły obok wili, która od dłuższego czasu w pół klęcząc, czegoś w trawie pilnie szuka.)

Czwarta rusałka: Wilo, wilo Zielna! wy znacie wszystkie zioła?

Wila Zielna: Wszystkie, co w boru są i na łąkach rosną i na polu.

Piąta rusałka: A które ziółko najbardziej pełne jadu?

Czwarta rusałka: A które najprędzej goi wszelkie rany?

Piąta rusałka: Zielna! mówcie!

Zielna (poważnie): Cyt! teraz bądźcie bardzo cicho!

Czwarta rusałka: No!... a dlaczego?

Zielna: Ja chcę posłuchać...

Druga rusałka: Może jak trawa rośnie?

Czwarta rusałka: Albo kwiatu rozwija się korona?

Zielna (podnosi nagle głowę): Cicho! o... cicho! jabym rada posłyszeć, jakto szczęście idzie...

Piąta rusałka (ciekawie): Szczęście?

Zielna: W nocy źle i ciemno! Kroku uczynić nie można, bo nie widać... Prawda, że w ciemności zło... niewola?

Czwarta rusałka: O, noc długa i smutna, i taka jest ponura!

Zielna: Ciemnością ziemię całuje, a w tym pocałunku zdradnym śmierć kładzie na obliczu ziemi... Chciałaby zabić! jeno nie dosyć silna i nie może!

Czwarta rusałka: Przed słonkiem wnet ucieka przestraszona.

Zielna (spogląda w górę i mówi): Już słońce wzbiło się wysoko... a wiecie? gdy ono tak do szczytu nieba dojdzie... i wszystek świat ogarną jego złote oczy...

Piąta rusałka: To... co? powiedźcie, wilo!

Czwarta rusałka: Wtedy co? powiedźcie!

Zielna: Wtedy się ze słońca wielkie szczęście rodzi... Narodzone... skrzydła otwiera na wszystek świat szerokie...

Czwarta rusałka: I do nas płynie?

Zielna: A do nas, do ziemi! Skrzydeł ma dwoje... a przedziwnych! jedno ze światła, drugie ze swobody!

Czwarta rusałka (półgłosem): Może wnet płynąć będzie?

Zielna: Może!

Piąta rusałka: Nie mówmy nic!

Zielna: Słuchajmy!... Cicho! cicho!

(Milczenie; potem wietrzyk nagły a leciutki przeciąga górą lasu i pochyla drzew korony.)

Czwarta rusałka (szeptem): Idzie?

Zielna (szeptem): Zda mi się, że idzie...

(Długa chwila ciszy.)

Piąta rusałka (szepce): Było?

Zielna: Było... i przeszło.

Czwarta rusałka: Ale wróci? wróci?

(Zielna nie odpowiada, jakby zadumana).

Czwarta rusałka (z ogromną żałością w głosie mówi): Wróć się, ty, jasne! Wróć się, ty, o, ty... moje! Śladami twemi leci gorzki żal po tobie, a płacz we mnie pyta: czemu takie cudne, a takie krótkie było?

(W głębi na fali strumienia ukazuje się wodnica: fala ją unosi chyżo, a ona ramionami potrząsa przerażona.)

Wodnica: Krew! krew!

(Na polance popłoch nagły: wszystko się z miejsca porywa i bieży do strumienia.)

Pierwsza rusałka: Co to jest?

Zielna: Co się stało?

Wodnica: Krew! Krwi struga wpadła do strumienia mojego! przeczysta woda moja zmącona: szkarłatna krew ludzka wlała się do wody!...

Pierwsza rusałka: Zkąd krew?

Druga rusałka: Co to znaczy?

Trzecia rusałka: Co się... krwią nazywa?

Wodnica: Ja uciekam, uciekam! nieś mię, bystra falo! Kędy jeszcze skazy niema, pójdę; strumieniem spłynę aż do rzeki, rzeką ucieknę aż do morza... O, falo! falo! falo!

(Przepływa i z oczu ginie; za chwilę drugą wodnicę prąd przynosi.)

Zielna: Wodnico! a co tam u was? jakie dziwo?

II. Wodnica: Biada mi! Krew ze snu obudziła! krew z cichego domu wygania! Biada!

(Do połowy zanurza się w topieli i niknie na zakręcie strumyka. — Teraz tłumem całym nadpływają wodniki, wodnice i złotowłose rusałki wodne: popłoch niezmierny widnieje między niemi.)

Chór wodników: Tam bój ogromny! tam śmierć po błoniu chodzi i po brzegach strumienia! Na czoła nasze krew ludzka upadła i boli!

(Przepływają.)

Wodnik (na ostatku płynący, ramię wstecz wypręża i woła): Tam... bój!

(Za innemi goniąc, ucieka; niepokój na polanie.)

Głosy (przerażone): Tam bój!

Inne głosy: Nie znamy boju!

(Zamęt, zbiegowisko, wszystko się w gromadę zbija i w popłochu radzi.)

Głos (jeden kędyś w głębi mówi): To ojciec śmierci...

(Ogólne przerażenie.)

Głosy (różne poczynają powtarzać): Ojciec śmierci... (Zlewają się wszystkie do jednego chóru.) Bój śmierci ojciec... (Ciszej.) Śmierci... (Już bardzo cicho.) Śmierci...

(Jęk do łkania podobny rozlewa się po lesie; po chwili krzyk nagły zrywa się w głębi boru):

Ukryjmy się, ukryjmy! ona... tędy idzie!

(W mgnieniu oka wszystko pierzcha: majki, rusałki, wile zapadają w trawę, w krzaki, w gąszcze; polana pusta, cicha. Parę chwil przechodzi; potem wrzawę słychać, która zrazu daleka, przybliża się szybko, rośnie, wzbiera: dolatują okrzyki, jęki, przekleństwa, nawoływania. Na polanę wypadają walczący: jest ich cała gromada; są między nimi ludzie w sukmanach, ci się zdają bronić i walczą na kosy. Zgiełk, bój, zamęt. Ludzie w sukmanach, mniej liczni, ustępują, słabną; zwycięzcy wydają głośne krzyki):

Głosy (zwycięzkie): Masz śmierć! Weź sobie! Na pamiątkę, na wieki!

Inne głosy: O! rety! O! dolo!

(Walka stopniowo przechodzi na skraj polany; niektórzy uciekać poczynają, inni gonią; jedni i drudzy wpadają wnet do lasu; polana pustoszeje; zostało trupów kilka, sukmany ich bieleją na trawie, na placu boju; odgłos walki cichnie w głębi boru. Wtedy z ziemi podnosi się człowiek ranny, przez chwilę jęczy cicho.)

Ranny: Ojojoj! boli... (Siada, pot ociera z czoła i już głośno mówi): O, rety! a toć mię utrafił! między ziobra wjechał mi daleko! (Maca się po boku.) E! nic! jeszczem żyw ostał! He! he! rogata we mnie dusza!

(Za plecami jego gałęzie rozchylają się powoli i wysuwa się ostrożnie najpierw głowa, potem cała postać kobiety. Kobieta na ręku przyniosła kilkuletnie dziecko, teraz stawia je na ziemi.)

Ranny (na odgłos kroków głowę odwraca żywo): A zkądżeś się tu wzięła na utrapienie moje? A czemu, jakem ci przykazał, nie siedzisz se w chałupie?

(Kobieta milcząc, wciąż ku niemu idzie.)

Ranny: Słyszysz? abo nie słyszysz? Pytam: dlaczegoś odeszła chałupy?

Kobieta (siadając obok niego, posępnie odpowiada): Spalona! (Dziecko tuli.)

Ranny: Spaliły?... hę? spaliły?

Kobieta (głową milcząco kiwa).

Ranny: A bodajże ich błyskawice oślepiły... za ten mój dom... za ten mój dach rodzony... A bodaj piorun jasny... (Głos mu się w jęku łamie; po chwili pyta): A kajżeś się ty skryła? kaj, niebogo?

Kobieta: Nocowałam w boru... za domem.. o, ztąd niedaleko.

Ranny: Idź-że se do boru, wracaj! tam mieszkanie twoje będzie, kiej innego niema! A no idź rychło, bo tu śmierć zdybać cię gotowa.

Kobieta: Pódzi ze mną.

Ranny: Nie chcę!

Kobieta: Człowieku, miejże zmiłowanie! Nie rzucaj mnie i dziecka: bez ciebie my sieroty!

Ranny: Daj dziecko!

Kobieta (niespokojnie): Po co?

Ranny: A no... jako ojciec pożegnam swego syna.

Kobieta (z jękiem): Rety! miejże miłosierdzie! zginie ci ono chudziątko! zmarnieje maluśkie, bezdomne takie...

Ranny: Ha! co począć! (Wzdycha.)

Kobieta (cichutko łkać poczyna).

Ranny: Słuchaj! komu ta oto ziemia matka jest rodzona? mnie, czy onym, co przyszli... hen!... zdaleka?

Kobieta: Ano... chyba tobie!

Ranny: Takem zmiarkował i prawo swoje znający, zawziąłem się okrutnie... póki życia! (Uderza pięścią w ziemię i głośno mówi): Żyw abo umarły tu ostanę! słyszycie? Nie pójdę!... a was tu po dobrej woli nie dopuszczę!... O! niedoczekanie wasze! (Do kobiety.) Daj dziecko!

Kobieta (posłusznie daje).

Ranny (bierze dziecko i tuli je do siebie): Bywajno zdrów, synaczku, synu... (Głos jego drży cokolwiek.) O, żegnają cię ojcowe ręce.... i przytulić chcą do piersi ciebie, synku miły! I żegnają te ojcowe oczy...

Kobieta (przerywa mu krzykiem): Rety! rety!

Ranny: Co tobie?

Kobieta: Krew... na dziecku!

Ranny: A...a! prawda! moja krew na dziecko moje kapie! (Ogląda sobie ramię.) Ano... może i nie szkodzi! Pochyl głowę... ot... tak! niechże i na ciebie troszkę się poleje... O, tak! z ojca krew na syna! (Ciszej.) Bo kto wie, co tobie sądzono, dziecko! I kto wie, jaka będzie dola? Zakryta, oj! zakryta! a kto wie, czy nie będzie jak ta nocka ciemna, ciemna i ciemna... W taką noc człek darmo wypatruje tęskne oczy...

Kobieta (z cichem łkaniem): Oj, doleńko, dolo!...

Ranny (do dziecka): Ano... gdy cię tak naznaczę, może wszystka pamięć w tobie — nie zaginie!

(Wrzawa kędyś w głębi lasu.)

Ranny: Słyszysz-li, kobieto?

Kobieta: Ojej! co począć?

Ranny! Bierz dziecko na ręce i umykaj! A nie oglądaj się, nie przystawaj, jeno gnaj, co siły!

Kobieta: Pódzi ze mną!

Ranny: Nie gadaj!

Kobieta (zawodzi): O, jakoż cię mam nie żegnająca odejść?... A kiedyż cię obaczę? (Wrzawa rośnie.)

Ranny: Nie gadaj, mówię! dziecko bierz, i uciekajcie żywo.

Kobieta (ociera oczy i dziecko wziąwszy, posłusznie idzie)

Ranny (odwołuje): Maryś!

Kobieta: A ino! (Przystając na drodze, zwraca się ku niemu.)

Ranny: Zajrzysz tu nocą... kiej całkiem będzie cicho... Ano rozumiesz? cichusieńko, cicho...

Kobieta: Zajrzę...

Ranny: Wtedy mnie poszukaj... I jeśli tu leżeć będę, pochowaj... zakop tu do ziemi. Obiecujesz?

Kobieta: Obiecuję. (Płacz jej głos przerywa.)

Ranny: Może oni zechcą włóczyć kości moje? A jam powiedział: nie pójdę! Powiedziałem, że ostanę, i... ostanę... Niechże tu legnę, jakem żył tutaj i niech w ziemi tej rodzonej stróżują kości moje... Obiecałaś i pamiętaj.

Kobieta: Obiecałam!

Ranny: A teraz, sieroty, uciekać wam do boru! (Kobieta z dzieckiem odchodzi na lewo; ranny przez chwilę spogląda za niemi. Gwar się przybliża ustawicznie, w końcu z prawej strony wybiega kilkunastu ludzi; uzbrojeni wszyscy; pierwszy z nich, zoczywszy rannego, woła):

A jeszcze jeden!

Drugi: Ubijmy!

Ranny: Nie zaraz! (Nastawia kosę.)

Trzeci: Ubijmy!

Ranny: Nie dacie rady! (Walka.)

Pierwszy (nacierając): Zgiń ty, przepadnij!

Drugi: Precz ztąd!

Ranny: Nie pójdę!

Pierwszy (chrapliwie): Zabijem, a to miejsce będzie nasze!

Ranny (mocnym głosem): Obronię!...

(Wtem śmiertelnie ugodzony, chwieje się i pada.)

Okrzyki: Umarł!

(Zbrojni kolejno przystępują i patrzą na niego.)

Pierwszy: Umarł!

Drugi: Zabity!

Trzeci: Nie oddycha! (Nachyla się ku niemu.)

Czwarty (wyglądający na wodza, zbliża się i woła): Aha! mówiłeś, że obronisz! Teraz, bracia, na pierś jego nogę swoją postawię na znak, że tu wszystko nasze!

Okrzyki: Hura! wszystko nasze!

Wódz (depce przez chwilę pierś zabitego): Mówiłeś, że obronisz! ostańże sobie i niechaj ten trup obrońcą będzie, a potem kości twoje białe.

Śmiech i okrzyki: Cha! cha! obronią kości białe! *Pereświt.*

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Jakuck, pomimo że nosi miano miasta gubernjalnego, że jest stolicą olbrzymiego kraju, że następnie jest siedzibą władz przeróżnych i gubernatora, wywarł na mnie jednak wrażenie małej i do tego nędznej mieściny, mającej zaledwie kilkaset domów i domków, a i to

wespół z jurtami jakuckiemi. Mieszkańców liczono podówczas 6.000, trzecią ich część stanowili Jakuci. Jurty tych ostatnich, jakkolwiek budowane podług dwóch typów różnych, mianowicie według typu rosyjskiego i jakuckiego *), mają, ogólnie biorąc, wygląd jednaki, są to bowiem niskie chałupki, o dachach słabopochyłych na dwie strony, pokrytych ziemią i gliną, o oknach wąskich, zasłonionych latem siatką z włosa końskiego, a na zimę bryłą lodu. Obecność takich zabudowań, stojących tuż przy innych na przedmieściach Jakucka, nadaje całości pozór oryginalny. Tu widzimy, jak się zespala miasto ze wsią, zaś kultura europejska z kulturą azjatycką, bez żadnych widocznych ogniw pośrednich. W mieście samem nie wiele co pozostało z pamiątek dawnych, widzieliśmy tylko wał ochronny ziemny i ruiny drewnianej warowni kozackiej. Z zakładów naukowych posiadał Jakuck w ową porę seminarjum duchowne prawosławne, szkołę realną, do której uczęszczały także dzieci Jakutów i szkółkę elementarną. W dziedzińcu szkoły realnej mieści się owa sławna w świecie naukowem, a dotąd jedyna na kuli ziemskiej, studnia, wykuta w przemarzłej na wskróś ziemi, na głębokość, wynoszącą 383 stopy angielskie. W roku 1832 głębokość studni rzeczonej mierzyła zaledwie 50' ang., na dnie jej badał wtedy prof. Ermann temperaturę ziemi i znalazł ją równą —6°R. W późniejszych czasach, przy głębokości obecnej, uskutecznił akademik Middendorff szereg badań systematycznych nad ciepłotą ujemną zmarzłej ziemi Jakucka i doszedł do niezmiernie interesujących wyników. Z nich tu kilka szczegółów przytoczę, a mianowicie te, na które zwracał uwagę swoją Czekanowski, podczas bytności w Jakucku.

Studnia, o której mowa, zwana pospolicie „szachtem Szergina“ (Szerginskaja szachta) przedstawia w bocznych ścianach swoich temperaturę, zwiększającą się w głąb ziemi w stosunkach następujących: przy głębokości 7' temperatura wynosi — 9° R.; przy głęb. 20' — 8° R.: przy głęb. 50' — $6\frac{1}{2}$ R.; przy głęb. 100' — $5\frac{1}{4}$° R.; przy głęb. 200' — 4° R.; przy głęb. 300' — 3° R.; przy głęb. 382' — $2\frac{1}{2}$° R. Na podstawie badań Middendorffa obliczył sławny geograf Peters punkt, położony pod powierzchnią ziemi w Jakucku, w którym termometr pokazywałby zero na skali swojej; punkt ten ma się znajdować na głębokości 600' pod powierzchnią gleby. Taka masa ziemi, stale zmarzniętej, stanowi silny kontrast z tą roślinnością bujną, jaką tam widzimy dookoła, z tymi potężnymi lasami Jakucka, i z uprawą różnych zbóż, dokonywaną na wiecznie zmarzłem podłożu.

*) Jurty typu pierwszego mają budulec ścienny, ułożony w zrąb poziomy; przeciwnie jurty typu drugiego mają budulec ścienny, ustawiony pionowo, albo nieco skośnie do podstawy budynku.

W Jakucku upłynęło nam dni kilka, zanim przygotowania do dalszej podróży ukończone zostały. Z racji tej, że na północ od miasta niema urządzeń pocztowych, musieliśmy nająć stałych wioślarzy i sternika, a dla celów bezpieczeństwa trzeba nam było uzyskać od władzy miejscowej przewodnika, kozaka, mającego nam towarzyszyć w ciągu całej podróży na północ od Jakucka. W taki sposób, przy obecności kozaka, wyprawa nasza nabierała w oczach tubylców znaczenia urzędowego.

Gubernator ówczesny W. P. de Witte przyjął Czekanowskiego z życzliwością szczerą i zrobił ze swej strony wszystko, co było w jego mocy, ażeby ułatwić naszą podróż dalszą. Dano nam za przewodnika kozaka „Balszowa“, pozostającego na służbie w wojsku kozackiem miejscowem; znał on doskonale język jakucki, a zarazem znał i ludność, zamieszkałą na północy; polecono nam następnie na sternika Jakuta, starego Pawła, doświadczonego żeglarza, który już przeszło lat dwadzieścia spławiał statki na ujście Leny. Obok zabiegów około wynajęcia ludzi, musieliśmy jeszcze łożyć starania celem uskutecznienia różnych przysposobień na naszej łodzi, trzeba nam było mianowicie sporządzić i ustawić stół na mocnych fundamentach, dogodny dla zajęć kartograficznych, mierniczych; wznieść nad nim daszek, chroniący od deszczu i słońca, urządzić małe obserwatorjum meteorologiczne, ulokować palenisko do suszenia bibuły i roślin, a także piecyk na kuchnię itd., zresztą licząc na to, że może się nam uda dotrzeć na łodzi daleko na północ, musieliśmy się troszczyć o to, ażeby statek nasz mógł stawić czoło niebezpiecznym falom olbrzymiej rzeki, a nadto, by miał w zapasie wszystkie potrzebne nautyczne przyrządy.

(C. d. n).

Z pism i książek.

* P. t. *„Jak u nas chowano dzieci?“* lekarz i publicysta, dr. Gustaw Doliński, ogłosił w „Bibljotece dzieł wyborowych“ popularnie skreślony zarys historyczny pedegogji w Polsce do końca XVIII stulecia.

* Wyszły z druku *„Zasady botaniki“*, umiejętnie a jasno wyłożone przez p. M. Heilperna podług Schoedlera i Thomégo. Starannie wydaną książkę zaopatrzono w liczne rysunki i niezbędny w podręcznikach, a często pomijany spis nazw łacińskich i polskich.

* Na półkach księgarskich ukazała się książka p. t. *„Kampania polska księcia Paskiewicza w r. 1831.“* Rzecz ta, przełożona z języka francuzkiego na język polski przez niewymienionego tłómacza, jest tomem czwartym wydanego w r. 1893 w Petersburgu dzieła ks. Szczerbatowa o życiu i działalności księcia Paskiewicza. Tłómacz w przedmowie zaznacza, że „ks. Szczerbatow o wielu rzeczach, faktach i ludziach ma błędne pojęcie“, mimo to dzieło może stanowić materjał do historji wojny 1831 r.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.